

# SZTUKA I NARÓD

Nº 14-15

Cena 5 zł

grudzień 1943-styczeń 1944

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

## DEKLARACJA

Wola tworzenia wynika z poczucia odpowiedzialności wobec narodu i jego historii.

Usunięcie zewnętrznych czynników naszej państwowości i prześladowania okupantów nie zdołały zahamować rozwoju kultury polskiej i przerwać jej ciągłości. Zorganizowanie pracy kulturalnej jest dziś koniecznością chwili. Wartość tej pracy zależy od postawy ideowej ludzi tworzących kulturę.

Eklektyzmowi i bezhistorycznej fantastyce minionego dwudziestolecia Ruch Kulturowy chce przeciwstawić realizm i obiektywizm idei w kulturze. Fundamentem myślowym Ruchu jest polski uniwersalizm zestrzajający jednostkę i zbiorowość w świadomej pracy twórczej.

Zrozumienie związku kultury polskiej z kulturą katolickiego zachodu stanowi podstawę dla wytworzenia nowego kształtu zdolnej do ekspansji kultury narodowej.

Celem Ruchu Kulturowego jest realizacja tych założeń.

Nie stanowi on w rzeczywistości kulturalnej Polski żadnej partii ani stronnictwa

Chce on wychować w kulturze typ jednostki czynnej i odpowiedzialnej. Upowszechnienie kultury i nadanie jej odpowiedzialności wagi w życiu społecznym jest dla Ruchu Kulturowego zadaniem równie istotnym.

Ruch kulturowy podejmując te zadania ma pełną świadomość trudu pracy i jej powagi

**RUCH KULTUROWY**

## SZANSE EKSPANSJI KULTURALNEJ

Gdy przeliczy się wszystkie straty, gdy ogląda się ruinę, a wie że księga jeszcze nie jest zamknięta i dramat zbliża się do końca zaledwie aktu – snucie planów jakiegokolwiek ekspansji, a już przede wszystkim kulturalnej, wydaje się niewczesne.

Że jednak istnieje w naturze ludzkiej, nieprzewyciężony pęd do r e g e n e r a c j i , że w świadomości tkwi nadzieja na odbudowę, a znów z kolei ani regeneracji, ani odbudowy nie da się pomyśleć bez zamiarów ekspansywnych, bo człowiek umie się tylko wspinać, albo staczać, a nigdy nie tkwi w miejscu, przewyciężmy awersję do zarozumiale brzmiącego słowa ekspansja, zabawmy się w proroków i rozważmy szanse promieniowania kulturalnego, rodzimego aktywu na kraj własny i kraje inne.

Rzecz na polu kultury przedstawia się w sposób bardziej skomplikowany niż na polu gospodarstwa i polityki, choć we wszystkich tych trzech dziedzinach problem ofensywy kojarzy się w głównej mierze z problemem samoobrony, a obie zarówno samoobrona, jak i ofensywa składają się w równej mierze na kapitalny, a tak dziś w gruncie rzeczy zakwestionowany problem zachowania rozwojowych szans człowieka pojętego jako osobowość pełna, obdarzona wolnością woli, co w przekroju społecznym odpowiada dążeniu do suwerenności, względnie emancypacji. Nie tylko realizm, ale dobrze pojęte ogarnianie spraw światowych i ludzkich jako całości nakazuje wprowadzić wolnej woli jednostek nakładać pęta w postaci sumienia norm moralnych i rozumowych, nie dopuścić do jej chorobliwego wyuzdania i samozniszczenia, względnie samo wyczerpywania się przez zaniedbanie hamulców; a również społeczeństwom nakłada ograniczającą ich bezwzględną suwerenność normę prawa ogólniejszego, lub faktycznego dominowania silniejszych, względnie rozsądniejszych zespołów – niemniej jednak dążenie do możliwie nieskrępowanego z zewnątrz wcielenia swej woli u jednostki, a u społeczeństw dążenie do tego aby stopień ich suwerenności i zwierzchnictwa odpowiadał osiągniętemu przez nie stopniowi samowiedzy jest dążeniem z natury tak słusznym i konstruktywnym, iż ograniczanie w sobie tego pędu w załączku byłoby zbrodnią zbliżoną do zbrodni samobójstwa, spędzania płodu, czy też samogwałtu. Byłoby nie tylko występkiem, byłoby również głupotą. Z wolą i suwerennością bowiem zawsze jest tak, że nie znoszą próżni. Niech tylko jednostka pozwoli sobie na więcej bierności i lenistwa, a natychmiast zaczyna maszerować pod cudzą komendą. Niech tylko społeczeństwo ogłosi swą awersję do różnych imperializmów, suwerenności, ekspansji, niech tylko na chwilę zechce mieć tego dość i zapragnie świętego spokoju, idealnej demokracji, pacyfizmu, a nie opatrzy się nawet jak natychmiast z butami wpakuje się jakiś inny najmniej wyczekiwany imperializm.

Są koła, w których dotychczas wiesz się psy na tak zwanym polskim imperializmie. Mój Boże, jakby już żaden inny imperializm nam nie zagrażał. Jakby ziemie nasze i naszych sąsiadów, zwłaszcza od północy i południa nie mogły być już terenem żadnej innej suwerenności, ekspansji i imperializmu, prócz naszych zapędów w tym kierunku. Poza tym nieraz w fałszywym narodowym wstydzie traktuje się nasze własne imperialistyczne porywy jako rzecz żenującą, rodzaj warcholstwa w stosunku do rzekomo idealnej budowy świata, jaka ma nastąpić po wojnie, słowem jakimś reakcyjnym refleksem wadliwej struktury przedwojennej świata podzielonego na wiele drobnych, egoistycznych fragmentów o teoretycznie nieograniczonej suwerenności.

W istocie rzecz ma się inaczej. Duch imperialistyczny, suwerenne ambicje i tendencje ekspansywne nie muszą oznaczać rozbójniczego wyłączenia się poza nawias świata, lecz mogą iść w parze z jednoczesną troską o całość cywilizowanej ludzkości. Mówiąc inaczej, nie muszą znaczyć warowania sobie teoretycznej wykluczalności wszelkich ograniczeń, które krępowałyby suwerenność niekontrolowaną nawet przez prawo międzynarodowe, lecz mogą oznaczać również dobrze odpowiednią troskę o właściwym miejscu w organizacji ponadnarodowej, odpowiadającej cywilizacyjnemu, moralnemu i fizycznemu wkładowi. Ta organizacja w swych mglistych zarysach deklaruje się jako raczej bliższa dawnej feudalnej strukturze chrześcijańskiej Europy, niż liberalnej Lidze Narodów pojętej jako handlowa spółka, oparta na składkach, a pozbawiona egzekutywy i autorytetu.

O tym, czy zajmiemy właściwe miejsce w tej nowej strukturze jakby feudalnej, zadecydują nie tylko nasze siły fizyczne, ale również mocny charakter i autorytet, jaki potrafimy uzyskać. Od wyrzynanej i trzebionej, i to przez dwóch zbójców, ofiary do roli uczestnika w kształtowaniu się świata wiedzie daleka droga. Droga ta, na szczęście, jest wąska. Wyznacza ją heroizm moralny, cywilny, który nie pozwala ugiąć karku przed triumfatorami chwili. Heroizm ten będzie rozsądny, ponieważ odróżni tych, którzy zechcą się nami opiekować, a jednocześnie nas nie degradować. Od nas będą pragnęli nieponiżających, wzajemnych usług, od tych, którzy zaczynają swój udział w zwierzchnictwie, od intrygi przeciw nam, przeciw naszej całości na wschodzie, przeciw nabytkom na zachodzie i północy, a związkiem na południu. Uczestnik konsylium światowego, występując w roli konkurenta w stosunku do nas, sam się degraduje do roli partnera i traci kwalifikacje zwierzchnika.

Fortuna variabilis<sup>1</sup>. Jeśli przyjdzie na „pustyni” Europy rozegrać konkurencję z tym partnerem, nie wystarczą tu siły fizyczne i konstelacje polityczne. O tym, czy „pustynia” Europy zakwitnie naszymi dziećmi, czy wygna ich z siebie – rozstrzygną w głównej mierze zarówno talenty gospodarcze, jak i kulturalne dwóch światów, które lada chwila, po odpadnięciu świata germańskiego w nihilistyczną otchłań, jaka na niego oczekuje, wejdą na arenę: świat zachodniosłowiańskiej kultury chrześcijańskiej i świat turańsko-moskiewskiej kultury

euroazjatyckiej, który jest dzisiejszym wydaniem, względnie nawrotem, znanej od wieków wylęgarni grubego materialistycznego bałwochwalstwa, z boskim kultem oddawania się państwu, o ile i... złu.

Jeżeli pierwszemu z tych światów, które od jutra na pewno zaczną się z sobą mierzyć, tylko jeszcze nie wiemy czy na polu otwartej walki, czy innego współzawodnictwa, uda się zasięgiem swym ogarnąć prócz katolickich, kilka krajów prawosławnych, stanie on przed jedną z najkapitałniejszych prób i zadań stworzenia kultury eucharystycznej. Jeśli dałoby się wykonać tak kapitalne dzieło ogarnięcia na nowo przez pierwiastek powszechny, tkwiący w dynamicznym kościele katolickim, tragicznie odpuszczonego starego Bizancjum, dziś znajdującego kontynuację, a nawet upodobnienie do Zachodu w młodych narodach serbskim, nowogreckim, rumuńskim, wtedy uzyska się platformę tak szeroką dla naszej kultury, że będzie można mówić o obronie przed zalewem kultury euroazjatyckiej oraz o ekspansji poprzez Ukrainę, Białoruś, na wpół-słowiańskie szczepy wielkoruskie, ku pogańskim przestrzeniom plemion Syberii, dziś jeszcze modlących się tylko do czołgu, maszyny i filmowego obiektu.

Na to jednak, aby nasza kultura uzyskała te perspektywy, musi być postawiony pierwszy krok. Dobra gospodarka, zręczna polityka – nie są tu wyłącznymi bohaterami zmagania. Intensywna, wartościowa twórczość artystyczna na „pustyni” europejskiej, odegra jedną z najważniejszych ról. Zaufanie do jej znaczenia nie powinno nas wpędzać w kwietyzm.

Powiedzmy sobie jasno: los nas doświadcza srogo, żadnego innego narodu prócz żydowskiego, mocniej nie doświadcza i nie trzebi. Poza tym jest to punkt kulminacyjny trwającego od 150 lat, intensywnego trzebienia naszego narodu. Przeciw temu losowi rzuciliśmy swoje siły. Zmagamy się na wielu polach. W ciągu ostatnich czterech lat trzeba przyznać, że szaniec gospodarczy broni się najmężniej. Nastąpiła jakaś nieoczekiwana regeneracja handlowa i gospodarcza narodu. W najstraszniejszych warunkach naród spróbował z głodu nie zginąć i trwa jak dotąd zwycięsko na tej pozycji. Kraj od zewnątrz zrujnowany pod ziemią się wzbogaca. Wzbogaca przede wszystkim w umiejętności samodzielnej i nieniańczonej przez państwo walki o chleb. Już nie jesteśmy narodem chłopów, robotników i urzędników. Jesteśmy narodem drobnych przemysłowców i kupców – i to zarówno dotyczy miast i wsi – to jest największa i najcenniejsza zdobycz. Dziedziny te zresztą przeżywają swoją romantyczną fazę, zdobywczą i bohaterską, gdy nieraz duży zysk idzie w parze z igraniem o całe zdobyte mienie i nieraz o życie. Nie jest dla przyszłego naszego rozwoju, a między innymi i kulturalnego, bez znaczenia, że ona stanowi w naszym życiu najbardziej wartościową pozycję i rozporządza najcenniejszym ludzkim elementem, a również cieszy się największym poważaniem w społeczeństwie »nielegalny« handel i produkcja). Na drugim dopiero miejscu stoi w hierarchii

bohaterów obecnej wojny – żołnierz i polityk. Na trzecim i to niestety znacznie bardziej zenującym – twórca artystyczny i działacz kulturalno-oświatowy.

O ile w polityce mamy do zanotowania przynajmniej dwa wielkie osiągnięcia, które dźwigają nas na wyższy szczebel rozwoju niż dotychczas: 1) utrzymanie ogólnej nieprzejednanej postawy wobec przemocy i płynący stąd niemały autorytet, 2) uzyskanie w przysłowiowo swarliwym narodzie większej zgody w zasadniczych kwestiach, niż to spostrzegamy u innych jak dotąd bardziej zgodliwych narodów. O ile w wojsku mamy dowody zdolności regeneracyjnej, dużej sprawności i niepójścia w rozsypkę organizacyjną, o tyle pod względem akcji kulturalnej stoimy przed wielkim znakiem zapytania. Idziemy w wielkie niepewne. Po zagładzie tego, cośmy mieli, na tym polu bardziej niż gdzieindziej wszystko będzie trzeba budować od fundamentów i wygrzebywać z rumowisk, tym bardziej, że rozmiarów zagłady ani sobie jeszcze nie możemy uprzytomnić, ani wyznaczyć jej kresu i nie mamy żadnej pewności, czy nie nastąpi chwila, gdy kultura Mazowska będzie trzeba tak samo zaczynać od gołej ziemi, jak na przykład kulturę Wołynia czy Pomorza.

Jedno jest pewne, że w bliskim czasie p o d s t a w y kultury staną się jednym z naczelných przedmiotów troski. Zagadnienie c h a r a k t e r u , moralnej podstawy artysty stanie się obok zdolności specjalnych głównym wyznacznikiem kwalifikacji. Ta droga będzie prowadziła do emancypacji i suwerennych kwalifikacji narodu w sposób równie istotny, jak samodzielność gospodarcza i wojskowe decyzje. O szansach zaś ekspansji będzie decydowała zdolność naszej kultury do przejęcia obowiązków światowych oraz ogólnoludzkich. Nie kosmopolityzm, nie żargon, nie baraki w obcych miastach, ale i nie egzotyka, nie fałszywa „swojskość”, nie zaścianek, nie prowincja europejska. Twórzmy w swoim języku, ale tak, aby inni mogli nas tłumaczyć. Twórzmy tak, abyśmy nie potrzebowali wstydzić się, gdy zechcą nas przekładać, nagrywać, reprodukować. Jeśli dźwięk nasz nie będzie dość hartowny, a jednocześnie zrozumiały dla świata – zostaniemy zdławieni, mimo największych wysiłków gospodarczych i zabiegów politycznych.

Z czym przyjdziemy do Łużyczan, Ślęzan, Pomorzan, Obodrytów, jeśli na arenie twórczości kulturalnej nie zdobędziemy się na najwyższy wysiłek twórczy.

## ROK 44

Na żółtej od końskiego gnoju ulicy okrągłe wróble wypełnione zdziwieniem skaczą między dziwnymi kształtami, które upadły na bruk z zalanych gipsem ust konających.

Grupka ludzi, zaplątanych w jakiś stary deszcz jak w drut kolczasty, tkwi na rogu.

– Co za cholerny naród – piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce i zaczyna się energicznie rozpychać łokciami.

Jakby w odpowiedzi wykrzywiona cegła wystająca z ciemnego tynku skrzypi przeciągle, jak żuraw.

A gdy ospowaty mur wprost marszczy się jak toń rzeki, jest tak cicho, że słycać daleko, w zadętych śniegiem chałupach pomarańczowy ogień gra nieśmiało na pochyłych, zakopconych kominach i rozżarzone węgle odrywają się szykiem.

I tylko górą sztandar chmur.

I tylko dołem milczenie ust otwartych.

Czarny jak burza Kopernik kamienieje nad arkadami przestrzelonymi kropelką krwi.

Ludzie i drzewa rosną ociężale pośród topniejącego śniegu, znacznie małymi jak pocisk krzyżami na czołach.

Za nami na horyzoncie ognisty słup.

– Co za cholerny naród – pisnęła znów pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

Leciutko podfruwają wróble nad dziwną ojczyzną, która potrafi się tylko objawiać pozłoconym żytem i brzożami albo skrzepem krwi wśród końskiego gnoju.

Ale tu jest zaledwie śnieg, więc zakwitną białe trawy i matka nuci martwemu dziecku kołysankę monotonną o kraju modlitw i przekleństw wypełnionych.

Ale tam – Mickiewicz żelaznym skurczem łamie kształt nad stojącą drętwo ciemnością i płomieniem –

i straszliwa przepowiednia dopełniła się powoli jak głaz wychylony z podstawy.

Ludzie na rogu gną się ciężko jak most.

– Co za cholerny naród – piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

## LITANIA WOJENNA

Zanim mu salwą strzelą drzewa  
Drewnianą stopą stojąc na nim  
I klęknie przy nim krzak modrzewia  
W ziemię głęboką, bo z niej są –  
Chryste elejson, módl się za nim,  
Kryje elesjon.

Arko przymierza, a gdy pocisk  
Spocznie na sercu, owad zły,

Jak kosmyk świecy biała łodzi,  
Jak dziecku łódka papierowa,  
W zmarłą na lufie dłoń żołnierza,  
Arko przymierza, spłyń.

Bramo niebieska, gdzie puchowy  
Cherubin uśpił swoją dłoń,  
Na nasze sprawy kładąc wszystkie –  
Uciekających się do Ciebie,

Z ulic, z przystanków tramwajowych,

Przed butem, kolbą i pociskiem.

Bramo niebieska, chroń.

Domie nasz złoty, gdy wysiedlą

Z życia jak miasto, z domu w nim –

Na jedną noc nas wieczną przytuli,

W emaliowany i dziecinny

Pokój, nad pięścią się ulituj –

Zwróć jej zabawkę z malachitu,

Domie nasz złoty, przytul, przyjm.

A gdy odniosą chłopcy znowu

Dębowe stopy, ramion cepy,

Pod łuki łuny i ołowiu,

Na ziemię smagłą, bo z niej są –

Daj więcej, daj lepiej.

Kyrie elejson, Chryste elejson,

Kyrie elejson.

## O POLEGLYM

Pamięci St. Łomienia<sup>2</sup>

Przymierzaliśmy postaci tamtych do śladów drobnych, jakby zrobionych pazurkiem wiewiórki, która przebiegała w pośpiechu.

Gdy zrozumiałem cień jego włosów tam, na murze z cegieł czerwonych, niebo szarzało od deszczu i śmierci. Między cegłami, w silnym betonie gną się delikatnym, jak puch spalonych lasów.

Ach, więc profil twarzy dziecinnej przechylonej na promieniu słońca?

Wołanie na pustkę pól mazowieckich wyrównanych jesienią?

Z pod brzoź w „złotym deszczu” stojących niebo i ciszę przynosić?

To drzewa srebrne i rzeki szumiące bardziej od obłoków i kwiatów, pisane w półcień stawiania się leżą tu, pod niejasnym wiekiem salwy?

Na tamtej, na tamtej stronie tak już cicho. Krew, wypaliła w murze szczelinę na wylot – tam leży pudełko sardynek, kości zwierzęce i trochę śmieci już nieokreślonych.

To uroczystość zapomnienia, dlatego chodnik umyły odświeżnie.

Przechodnie kapeluszami na cegłach rysują gorączkową wieczność.

To już pod cegłą, pod płytą, pod asfaltem zamieniony w ciemność odpada...

Pośród domów i ruin nieuruchomionych wciąż nieubłagane ta kapryśna czerwona linia o brzegach rozlanych na asfalcie drży jak niewyraźna litera rozpoczętego słowa.

Gdy na dzwonku tramwajowym zadzwoni niebo wciąż szare i pochyli się nad nami, czy zrozumiesz, czy zrozumiesz po co żyć i po co umierać?

## FRAGMENT POWIEŚCI „KWIATY Z DRZEW ZAKAZANYCH”

Zbigniew drwił sobie nieraz z tego schematu, w jaki ujmował współczesność Wawrzyniec, ale wtedy, leżąc na granatowym, włochatym kocu, czuł się jej bezwzględny apostołem. Wierzył bez cienia wątpliwości w Wawczyńcową słoneczność współczesności, która jest wielką, pyszną plażą, złocącą się pod brązową od spalenizny stopami ludzi, ciągnące, się wzdłuż jakiejś szafirowej, falującej miękko zatoki, pozwalającej na pracę, modlitwę, śpiew, zabawę i sen. »Po co nam przeszłość – mówił Wawrzyniec – przeszłość i przyszłość stwarzają w nas niepotrzebne napięcie, a to znowu skazuje nas na ból, dopiero tam, gdzie jest sama terażniejszość, wyodrębniony ze wszystkiego moment współczesności – dopiero tam może istnieć zupełna wolność«. Zbigniew ujmował to filozoficznie: »Chodzi o znalezienie się poza przyczynowością i celowością, jako siłami spoza nas. Wszystko, co uznajemy, to my sami«. Wawrzyniec zgadzał się. »Taki był – mówił do Zbigniewa i Łucji – antyk«. Zbigniew poprawiał go: »Tak antyk przedstawia się dwudziestemu wiekowi naszej ery«. Łucja śmiała się. »Jesteście śmieszni z tą swoją nadętą filozofią – wtrącała się – słoneczność antyku nie wynika z niczego innego, jak tylko z położenia geograficznego. Przecież cały świat ówczesny był światem śródziemnomorskim«. »O nie – mówił Zbigniew – pani się myli. To jeszcze nie wystarcza. Grecy, ci, o których teraz myślimy, nie mieli współczesnej, opartej na przyczynowości fizycznej, nauki, ani nie wierzyli naprawdę w swoich bogów. Wszystko wynikało z nich samych i to właśnie daje ludziom słoneczność«. Łucja: »Czy nie mieli tragedii?« – »Mieli do nich stosunek estetyczny – mówił Zbigniew – a nie etyczny. Nie wierzyli w tragizm, zachwycali się nim tylko...«. Cóż Łucję mogły obchodzić te głupstwa!

No więc dobrze – myślał Zbigniew, leżąc na granatowym, włochatym kocu – jest zbyt upalnie, żebym myśleć o tym do końca, czy tym bardziej na serio, ale przecież ta dziewczyna powinna się raz w życiu poczuć na takiej pysznej, złocącej się pod jej brązowymi stopami plaży, nad taką szafirową, rozkołysaną, miękka zatok, pod takim zatrzymanym w samym zenicie słońcem, obok ludzi wykutych w brązie opalenizny, jak historyczne, wprawdzie już brązowe pomniki, powinna przecież poczuć raz w życiu taką nieograniczoną niczym zewnątrz wolność i młodość. To dziewczyna, ta irytująca go Łucja.

To nie uspakajało bynajmniej. W konsekwencji bowiem dochodziło się do groteskowego obrazu, w którym wszystkich tych Mochnackich, Chopinów i Norwidów wypędzało się także na plażę i kazało im się biegać »na golasa«. Zanurzyć się w szafirowe, lekko rozkołysane fale zatoki i opalać się w niezmiernie zenitalnym słońcu. To był błąd przecież. To był żart – myślał Zbigniew – ale przecież nasza kultura bierze ten żart na serio. Z tym trzeba walczyć. Kim chce być u diabła. Kim chce być? Trzeba walczyć już nie tylko z hedonizmem zachodniej Europy, co z tym konsekwentnym ignorowaniem przez współczesne demokracje historii. Współczesne



demokracje nie mówią nigdy »naród«, mówią jedynie »społeczeństwo«, dlatego właśnie, że naród oznacza ów łańcuch pokoleń, wiążący moją przeszłość z moją przyszłością, podczas gdy społeczeństwo to zaledwie zbiór współczesnych sobie ludzi, mających wprawdzie pewne wspólne cechy, ale nie mających za to wspólnych historycznych napięć... Tych napięć, o których tak niechętnie mówi Wawrzyniec...

Przewrócił się na wznak. To nie było pierwsze w życiu, to rozdwojenie. Ale upał tego popołudnia i ten obiad z paroma kieliszkami i opowiadaniem dosypywał do tych myśli parę ziaren gorzkości. Pytanie Zbigniewa, kim chce się być, nabierało drastyczności. Nawet wręcz zdawkowa odpowiedź, że chce się być autorem tomu grotesek, mogła drażnić. Opowiadanie o Mochnackim leżało doprowadzone do samej niemal pointy, nieskończone jednak i żółknące tylko w pełnym słońcu zza okna. Cóż znaczy to całe opowiadanie. Co znaczy ta groteska o Chopinie i jego pobycie na Majorce, którą przepisywała na maszynie Łucja. Śmieszny kompromis! Kompromis sięgania niby to w historię i rozumienie jej rzekomo twórczych procesów, a jednocześnie patrzenie na wszystko przez pryzmat słonecznej, hedonicznej i ironicznej współczesności. Kim więc chciał być, w rezultacie: człowiekiem kalibru Mochnackiego, czy człowiekiem kalibru tych ludzi z plaży Wawrzyńca? A może ani tym, ani tym, może jednak wbrew wszystkiemu, takim pysznym dojrzałym mężczyzną o lekko rozpustnych wargach i złotych spojrzeniach, w szarym ubraniu z wełny manchester, z oryginalnymi spinkami w jedwabnych mankietach koszuli, mężczyzną zostawiającym przez roztargnienie w sposób piękny i niedbały owe spinki ze złota jakimś przypadkowym kochankom.

Zbigniew mimo całej drastyczności tych myśli, nie mógłby się zdecydować, kim by chciał być naprawdę. Naprawdę, to znaczy chcieć tego tylko i w taki sposób, aby niczego poza tym już nie żałować. Zbigniew nigdy nie zdawał sobie jasno sprawy, czy jego intencje apostołstwa i nawracania – oczywiście w sensie jak najbardziej świeckim, jak to zawsze wyjaśnia – otóż, czy intencje te nie są dyktowane po prostu przez »zakapturzoną żądzę uwodzenia«.

Myśli te były irytujące, ale niewątpliwie poza nim było coś jeszcze, jakiś znacznie głębszy nurt niepokoju. Nie analizując tego, Zbigniew wstał z łóżka i zaczął spacerować po pokoju. W opowiadaniu o Mochnackim, nawiasem mówiąc absolutnie zełganym, brakowało do końca trzech, może czterech kartek. Być może zabrałby się znowu do pisania, ale weszła Maria niosąc z sobą bukiet dzikich, czerwonych różyczek. Podeszła do biurka i zaczęła wyjmować z pękatego szkła na kwiaty zwiędłe, osypane pół na pół maki. Układanie różyczek szło nieskładnie, miały zdaje się, zbyt długie łodygi. Zbigniew przyglądał się obojętnie szarej postaci Marii. Słońce, padając na jej zwyczajne i spokojne ręce, nadawało im skórze anemiczny blask. Przypomniawszy sobie niespodziewanie słoneczną, gładką karnację Łucji. To porównanie wydało mu się jeszcze jednym żartem spletanym mu przez własną myśl. Przemknęło jednocześnie przez pamięć owo rozpustne

zdanie ojca o zachodnioeuropejskiej egalite i równości wszystkich kobiet, z którymi się sypia. Czerwone różyczki były ułożone. Maria wyszła, wynosząc osypane do połowy maki z gnijącymi nieprzyjemnie łodygami.

Zachodnio europejskim demokracjom – zaczął myśleć Zbigniew, – brakuje czegoś, co mogłoby być organem tradycyjności w społeczeństwie.

Wynalazek wyborów umożliwił łatwiejszy i mniej bolesny społecznie dopływ nowych sił, zharmonizował te procesy, jakie bezustannie zachodzą nowymi czasami i odpowiadającymi im nowym ludziom, ale wyniszczyła zatem wszelką myśl historyczną, myśl o przyszłości, a nawet realną myśl o przyszłości. Demokracja jest kultem terażniejszości, jest to jej słabość i jej urok jednocześnie. Kult terażniejszości z kolei stawia człowieka poza przyczyną i skutkiem, poza rozwojem, poza bolesnym napięciem, o jakim zawsze myśli Wawrzyniec. Prowadzi to do hedonizmu, moralizmu i nawet estetyzmu. Zaczynamy wyodrębniać poszczególne stany, chwile, rzeczy i dostrzegamy w nich poprzez falującą powierzchnię przemijania, cudowne piękno dna.

## KOLEDA

Ogień nieziemski pod łukiem bramy  
wspiętej wysoko jak dzwon lub ołtarz,  
łuna ofiarna jak gałąź złota  
spływa na głowę chłodna w konaniu –  
zaśpiewajmy mu, zagrajmy,  
czekaj martwy na ulicznym posłaniu.

Krętych chmur stoi wieniec bogaty,  
liczne dymy z miast ojczystych wołają,  
a twe okno jak gwiazda maleńkie  
nie przytuli do firanek białych;  
i nad włosiem zgiętym jak kwiatem  
znów zahuczy śmiertelny metal –  
zaśpiewajmy mu, zagrajmy,  
ach, uboga stajenka lecz piękna.

Z lewej mur, z prawej cegła – i wszystko.  
Jeszcze granie dalekie żelaza  
i na piersi człowieczej złe pismo.

A to dar, a to ofiarna moc,  
co do ziemi przechyla i każe  
słuchać głosu jak echa wśród zmierzchu,  
gdy zanika i wiedzie je leśny  
obłok ciemny jak ziemia – bez gwiazd.

Ciemność przecież najlepiej kołysze,  
w niej dostrzeżesz te ognie prędkie,  
co z czerwonej na piersi kropelki  
leczą wiotka, witają twe przyjście.  
I choć bydłat tu nie ma, ni siana  
to ulica darami usłana:  
marmur kruchy, wapna i smoła  
ach, uboga stajenka, spokojna.

Niby gwiazda prowadząca ku źródłu  
spłynie gołąb laurowy na nią  
i zamieniają ci wówczas krwią rudy  
kamień płaski na białe posłanie –

zaśpiewamy ci smutny, zagramy.  
W płytkim żłobku – nieopodal twej bramy  
w Betlejem – narodziło się dziecko.

Cierń na włosach, cierniowa koszula  
i przebite nogi i ręce;  
lulaj, lulaj.

## PRZEJŚCIE

Za grotem mojej dłoni – tam przestrzeń wiecznie blada  
w której przejrzysty księżyc jest  
jak fragment białej chmury albo anioła sandała  
zgubiony na powietrzu. Nieść  
cierpliwie trzeba obraz kończący się u wrót  
nikłego horyzontu – lecz dłoń przegina ciężar  
i ciało błyska trwożnie kiedy obłoczny strój  
opada bez szelestu i dana jest władza  
tym dłoniom, które niosą,  
tym ciałom, które drżą:  
nie przejdiesz cienia ręki powietrzem niby mostem  
i w obraz się zamienisz twych ojczystych stron.

Więc włosy będą – płomień lub ognisty krzak.  
A ręka, która światło zbierała lak owoc  
odrośnie nagłym słupem i głąb fioletową  
roztrąci dzwoniąc w okna, za którymi ręce  
człowiecze ręce w płomień zanurzone świecą.  
I jak źródło rtęci w twej piersi będzie serce  
pulsować krwawym łukiem spadającym w wieczność  
Więc stopy będą kamień u pielgrzymiej drogi,  
która początku nie ma, nieznany jej kres  
lecz oczom jest jak piorun w schyleniu pokornych  
zmęczonej ciężkiej głowy. A nad nią księżyc jest  
jak fragment białej chmury albo anioła sandała  
w przestrzeni zawieszony do palców, których cień  
rysuje krzyż radosny i nad głową splata  
pięć gwiazd oznajmujących twą konieczną śmierć.

## PŁOMIENNA NUTA

Gdybyśmy zapytali żołnierza o przyjaciół w jego trudnej, wojennej drodze, niewątpliwie zaliczyłby do nich karabin i... piosenkę. Broń – to przyjaciel ponury, najbardziej choćby czuły z nią związek grozi... przygodą, jakże często, – tragiczną. Piosenka niweluje ten niepokój, zapomnienie daje łatwe i radosne, kto wie czy nie dlatego, że opiewa przygodę potocznie i niefrasobliwie. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Niepokój największy i najboleśniejszy smutek przestaje być wewnętrznym, dręczącym przeżyciem, jeśli się wypowiada go, a cóż dopiero, jeśli wypowiada go melodia. Piosenka żołnierza nie skarży się zresztą. Jej smutek nigdy nie jest płacziwy, raczej patetyczny. A jeśli żołnierz narzeka to w słowach żartobliwych, ujmujących dolę żołnierską od strony groteski, nigdy koturnowej powagi.

I to jest nieprzeparty czar tej poezji.

Piosenka wojskowa bowiem jest także gatunkiem literackim, mającym swą historię i... przyszłość. Że jest to rodzaj trudny, posiadający swe odrębne prawa świadczą próby, próby najczęściej mało szczęśliwe, wychodzące od literatów, »zawodowych«, którym biurko służyło za okop w pisaniu »dla żołnierzy«. Pragnienie ofiarowania produktu swego talentu »ludziom z pola« dyktowało szereg udanych z punktu formalnego utworów, które przeszczepione na grunt walki nie przyjmowały się. Nie była to niewdzięczność ani złośliwość żołnierska. Piosenka »literacka« – poprawna i zręczna po prostu nie brała, być może dzięki swej obcości, być może dzięki nadto ambitnej formie. Tak było w okresie legionowym i potem w wojnie polsko-bolszewickiej. Większa część popularnych już dzisiaj, osłuchanych pieśni – to utwory poetów-żołnierzy, często podane bezimiennie, w każdym razie pisane w polu. Pewnie, nie można stawiać tego jako warunek, istnieją piosenki równie popularne a pisane przez zawodowców (Makuszyński choćby), jednak praktyka wykazuje, że losy piosenki wojskowej przypominają losy pieśni gminnej.

Przekonanie, że zbiorowość jest autorem tekstów ludowych dawno upadło, wiemy, że zawdzięczamy je talentowi jednostkowemu, tkwiącemu jednak w swoim środowisku bezpośrednio, dzięki czemu upowszechnianie danego utworu jest łatwe i skuteczne.

Podobnie piosenka zrodzona na kwaterze, na przypadkowym biwaku, chwytająca pewne charakterystyczne znamiona losu żołnierza, pozbawiona ornamentyki stylowej, bezpośrednia i szczerza – rozpowszechnia się szybko w zbiorowości żołnierskiej.

Jesteśmy świadkami tworzenia się nowego stylu piosenki wojskowej. Specyficzne warunki towarzyszą narodzinom dzisiejszej piosenki i one głównie wyznaczają ten styl. Niepodległe dwudziestolecie po trudach wojennych zmaganiach, w których powstała ogromna antologia piosenki wojskowej, nie potrafiła wytworzyć nowego ducha tej szczególnej poezji. Młode pokolenie

żołnierzy wychowywane w słodkim błogostanie wolności śpiewało dalej strofy legionowe, nasycone goryczą i dumą, zrodzoną z taktu samotności w podjętym czynie.

Kiedy anachronizm ten stał się rażący nasunęła się potrzeba świeżych tekstów. Preparowano je sztucznie, na zamówienie. Poszczególne środowiska żołnierskie nie były w stanie wytworzyć własnej »oryginalnej« piosenki. Piosenka wojskowa zjawia się bowiem w atmosferze wojny albo... wielkiej dei. Tej ostatniej nie było, wystarczała świadomość upragnionej niepodległości – umierała więc poezja żołnierza. Aby przybliżyć wszystkie trudy związane z walką o wolność – śpiewał nieznający ich z własnych przeżyć żołnierz – bohaterskie, pochmurne pieśni »osamotnionych«. Inspirowane przez zamówienie teksty odznaczały się wymuszeniem, sztucznością. Buńczuczne pieśni o wodzu, niecenzuralne wręcz utwory przygodnych autorów składały się na nowy repertuar tysięcy kompanii żołnierskich. Maszerowano także pod banalne, głupie słowa własowskich tang, i fakt ten ma dla nas wymowę niezwykłą.

Walka o naszą państwowość zorganizowana i celowa, odbywająca się we wszystkich płaszczyznach życia podziemnego przynosi oprócz zmagani samych, o ileż trudniejszych od dotychczasowych w naszej historii, ożywczy prąd idei. Nie określając jej i nie nazywając należy zaznaczyć, że nie nakłada się ona wyłącznie z ideą walki zbrojnej, że zawiera szereg treści poszerzających pojęcie samoistnego bytu narodu.

W tej atmosferze powstaje odrębna od wczorajszej twórczość. Spostrzeżemy to łatwo, analizując dostępną nam dzisiaj częściowo (antologie) twórczość poetycką, czytając konspiracyjne pisma literackie, słuchając prywatnych wypowiedzi autorów. Świadomość monumentalności przeżywanego ciosu i poczucie odpowiedzialności za dziejącą się rzeczywistość, przekształca stosunek twórcy do życia i konsekwentnie zmienia jego postawę artystyczną.

Ewolucję podobną widzimy w dzisiejszej piosence wojskowej.

Pozostała w niej znajoma nuta beztroski, często żartu, ogólny wygłos jednak jest wyglosem heroizmu. To wiązanie różnych elementów udaje się tylko w piosence. Tęsknota za dziewczyną, za powrotem, cechowała pieśń wojenną od wieków. I w dzisiejszej, powstającej piosence żołnierskiej istnieje ona także, silniej jednak akcentuje się zadanie, pozostające do wypełnienia, o nim mówi się ukochanej zwyczajnie, raczej wesoło niż tragicznie. Jak w tej strofie:

»Biciem, serduszka krok nasz odmierzaj,  
na odgłos strzałów uśmiechnij się,  
a ja radośnie będę uderzał  
na wroga i na serce twe«.

Zadanie nie przeraża swą odległością i kontaktem ze śmiercią. Piosenka obiecuje wiele darów dla dziewczyny z tej wędrówki:

»Po powrocie ofiaruję ci  
w mej manierce ten cud:  
rybkę ze słonych wód  
lub korale z mej krwi.

-----

Po powrocie dam ci, jeszcze dam  
śniegu z wysokich gór,  
wiatru z zielonych pól,  
szybek z nieznanym miast.«

Cel marszu kusi bardziej niż... dziewczyna. O odejściu myśli żołnierz nie ze smutkiem, lecz z radosną gotowością:

«A jeśli bzy już będą, to bżów mi przynieś kiść  
i tylko mnie nie całuj i nie broń, nie broń iść...  
A jeśli będzie jesień, to kalin kiść mi daj  
i tylko mnie nie całuj i nie broń iść za kraj».

A pokusą powrotu odrzuca:

»Twoje okno w czerwieni doniczek  
na dalekiej małej uliczce –  
widzę nawet  
szybki łzawe,  
twój policzek,  
a ja nie chce Miła moja, wole bić się».

Pogarda śmierci w nowej piosence wojskowej nie jest nonszalancką przypisywaną żołnierzowi z »urzędu« cechą. To głęboka świadomość, że śmierć nie będzie daremna, to coś więcej niż »styl życia wojaka«:

»Gdy pożar wojny krwią trza gasić  
to cóż, gdy komu nawet przyjdzie dalej lec,  
ziemskie imperium z kroków naszych,  
imperium Boga z naszych serc».

Lub w Innej piosence:

«Nie zdoła nas wstrzymać kolego  
żaden już w kraju tym podły wróg,  
czy wiesz – lekka jest – za kraj nasza śmierć,  
cichy sen da przy sobie Bóg...»

Piosenka dzisiejsza zrodziła się pod ziemią i to piętno rzeźbi jej treść. Pamięć krzywdy i czekania inspirowały wezwanie:

»Pamiętaj kompanie, pamiętaj  
ojczyzny pochmurny jęk  
i krew przelaną pamiętaj,  
teraz kompanio twój dzień.

Śmiało więc śmiało  
przez zgliszcza ogień idź,  
dosyć już czasu musiałaś twarz swą kryć«.

Jednocześnie z zagadnieniem walki dochodzi zagadnienie solidarności, solidarności... cierpiących. Ona właśnie jest jedną z tych fal, składających się na ożywczy, mocny nurt idei:

»Spojrzyjmy sobie w oczy, choćbyśmy byli z dala,  
podajmy sobie ręce, nie znając naszych imion,  
bo czujesz chyba bracie, co w tobie się zapala  
gdy słyszysz jak w Historię szeregi nasze idą.

Więc dołącz do szeregu, słowiański nasz kolego,  
by jeszcze jeden bagnet wrogowi błysnął w twarz,  
dopiero wtedy przyznasz, że jedna jest ojczyzna,  
gdy milion nóg rozpocznie swój marsz, słowiański marsz«.

Bije z tych słów żarliwość i szczerłość. Każda sylaba, każda nuta jest drobiną płomienia. Bowiem w jego złowrogim zarysie tworzymy teraz.

## ANTOLOGIA

»Wierne płomienie« (antologia). Lwów 1943. Odbito w tłoczni. Dr. Apaka we Lwowie, ul. Generała Mączyńskiego, stron 54.

Każąc nam spojrzeć głęboko śmierci w oczy, szczęście dnia dzisiejszego pełnego prostoty daje nam potężny, niemal imperatywny impuls twórczy. Rzeczywistość jako tworzywo artystyczne narzuca się natrętnie i wyzwala utajone aspekty twórcze stąd rodzi się poezja socjologicznie najprostsza, o najszerszych horyzontach społecznych, obejmująca wszelkie warstwy, wyrażająca przeżycie dni najbliższej minionych i przetwarzająca dzień dzisiejszy in infinitum – w wieczność. Dystans pomiędzy rzeczywistością a poezją nie istnieje, podważony

przez twórcę, który wyrugował kosmiczny czynnik czasu, zawieszając go jak gdyby w próżni. Płynie stąd niebezpieczeństwo przytaczania rzeczywistości artystycznie nie przetrawionej, surowej. Obserwujemy to w całym szeregu liryków tzw. wojennych, czy też w liryce sytuacyjnej. Wydobyć przez czasy dzisiejsze pewnych motywów tragicznych i przyjęcie ich niemal mechanicznie przez lirykę stanowi niejednokrotnie jej jedyną zdobycz. Nie jest to obnażanie istoty dnia, jakieś doszukiwanie się w terażniejszości aspektów metafizycznych, ale relacjonowanie, par excellence reportaż, operujący techniką poetycką.

W wyżej opisanym klimacie powstają wszystkie antologie poetyckie. Sensem dzisiejszych antologii nie jest utrzymanie pewnego poziomu artystycznego, co byłoby raczej pożądanym, ale programowość. Liryce wojennej, oczywiście publikowanej przydałaby się większa selekcja, wykreślenie i usunięcie tego publicystycznego dość szerokiego nurtu konstrukcji wierszy, wydobywanie na wierzch momentów najprostszych (nie artystycznie), najłatwiejszych, najjaskrawszych.

Ostatnio wydana antologia »Wierne płomienie« zawiera utwory wyrosłe z dziejów Lwowa w latach 1939-1943, Lwowa o najbardziej swoistej historii; od oparcia się Niemcom w 1939, po nawałę bolszewicką i ukraińskie niepokoje. Przez nawrót barbarzyństwa Hunnów w 1941. Antologia jest zbiorem liryków operujących i najłatwiejszymi elementami. Wartość artystyczna znikoma. Wyróżniają się dwa wiersze »Elegia o 60-u kapitanach« i szczery »Ojciec Nasz«. Całość, dzieli się na 5 części. W każdej z nich przebija jeden mocny ton: przetrwamy. On jedynie usprawiedliwia chyba ukazanie się tego zbioru, który pozostanie jako dokument walki miasta »semper fidelis«.

## DWA ARKUSZE POETYCKIE

Arkusze poetycki nr. 1 Jan Bugaj<sup>3</sup>. Wydawnictwo »Droga«.

Arkusze poetycki nr. 1 przynosi dwa wiersze Jana Bugaj »Ciemna miłość« i »Wybór«. W porównaniu z pierwszym tomem wierszy. Arkusz stanowi niewątpliwie poważny krok nie tylko naprzód, ale i w głąb. Bugaj wykrystalizował się. Podporządkował sobie tworzywo literackie, narzucił większą dyscyplinę w operowaniu środkami artystycznymi. W wierszach jego dźwięczy świadomość poczucia odpowiedzialności artystycznej. Jest już dojrzałym poetą, gdy dotychczas szukał. Bugaj nie relacjonuje rzeczywistości, ale przetwarza ją. »Ciemna miłość« jest nieco chaotyczna, nieskondensowana wewnętrznie, pewne spiętrzenie metafor nieuwarunkowane koniecznością artystyczną zaciemnia obraz, dojąc rzeczywiście – ciemną miłość. To samo tyczy się linii ideowej wiersza, która jest wyrzucona poza nawias utworu, łatwo



dostrzegalna, ale tym bardziej przekonywująca. Te wszystkie przejawienia, które rzutowałem są jednak dzięki talentowi i zmysłowi intuicji poety stosowane i nie rażą. „Wybór” – stanowi osiągnięcie artystyczne większej miary. Bugaj narzuca się artystycznie, organizuje wyobraźnię czytelnika, poddaje pewne motywy w sposób doskonały. Płaszczyzny starcia artystyczna i moralna nie krzyżują się, lecz stapiają w integralną całość. Pójście po linii wiersza „Wybór” (nie w sensie powielania) wróży wielką przyszłość. Czy Bugaj tę drogę wybierze?

Arkusze poetycki nr. 2. Autor cyklu „Gdziekolwiek ziemia”<sup>4</sup>.

Sześć stron ukazuje nam apokaliptycznego autora tomu „Gdziekolwiek ziemia” w nowym dla niego krajobrazie poetyckim. Trzeba powiedzieć od razu, że jako osiągnięcie artystyczne tych sześć erotyków jest pozycją ze znanych nam utworów poety – najsłabszą. Znamienna dla niego oschłość i szorstkość wiersza graniczy, tu z nieporadnością, brak pożądanej tak zawsze świeżości obrazu; jest to niestety krąg formalny tomu, którym autor zadebiutował.

R. Jadźwing<sup>5</sup> „Skąd i dokąd idziemy”. Wyd. „Żałoga”.

„Zagadnienie totalizmu”. Wyd. „Zryw” i „Kadra”.

Mniej więcej jednocześnie ukazały się w druku dwie książki, które stawiają sobie za cel wskazania dróg do wyjścia z katastrofy, w której się znalazła obecnie Europa. Jak się nazywa owo zło, łatwo krótko odpowiedzieć: totalizm. Co to jest jednak ów totalizm, czy jest chorobą, czy tylko niebezpiecznym zboczeniem z toru cywilizacji dotychczas uważanej za cywilizację najwyższą – na ten temat można dochodzić do krańcowo różnych wniosków nawet jeśli się stoi na podobnej płaszczyźnie poglądów.

Oto dwie książki jakże krańcowo odrębne we wnioskach, choć autorzy ich wychodzą z założenia pokrewnego: stoją na gruncie kultury chrześcijańskiej, dość ogólnikowo, szeroko i nie ekskluzywnie pojętej. Zwłaszcza R. Jadźwing w zalecanej przez siebie lekturze i komentowaniu przytaczanych autorów nie pomija autorów w stosunku do idei chrześcijańskiej zgoła obojętnych i zimnych. Niemniej jednak wykazuje, że krytyczna myśl europejska, wyprzedzająca lub starająca się przewyciężyć straszną rzeczywistość nieuniknioną nie zmierza do koncepcji personalistycznej, traktującej osobowość jako zjawisko pełne z wszystkimi metafizycznymi konsekwencjami tej pełności i, że wizja świata jaką stara się odbudować obecna filozofia będzie powrotem do spraw najważniejszych – kosmogonii średniowiecznej.

Książkę czyta się z przyjemnością ale bez pasji. Dlaczego? Gdyż nie jest to ani książka naukowo sensacyjna, ani nie tworzy dość mocnej doktryny. Natomiast jako przewodnik, propedeutyka, spełnia swoje zadanie, przede wszystkim zadanie pedagogiczne.

Natomiast druga z omawianych książek, mimo, że właśnie propedeutyczne stawia sobie cele daje się czytać z większą pasją i w bardziej jaskrawym świetle pozwala widzieć schorzenia współczesne a jednocześnie budzi więcej sprzeciwów i napełnia niepokojem. Autor<sup>6</sup> w pięciu punktach zawiera ściśle sprecyzowanie swej doktryny.

Otóż, choć myśl autora zasadnicza, że przerostowi należy dać uniwersalistyczne ujęcia, by się nie wykoleiła w kierunku totalistycznym wydaje się trafna, to już owo doktrynalne wytyczanie dróg wydaje się przedwczesne lub ryzykowne. Przeżywamy wielką gorycz do doktryn, nauczyliśmy się być empirykami, dlatego lękamy się czy drogi wyjścia z impasu jakie wskazuje autor nie stworzą jakichś nowych nieporozumień?



**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu  
Promocji Kultury

---

<sup>1</sup> (z łac.) Los jest zmienny.

<sup>2</sup> Andrzeja Trzebińskiego

<sup>3</sup> Krzysztof Kamil Baczyński

<sup>4</sup> Tadeusz Borowski

<sup>5</sup> Bogdan Suchodolski

<sup>6</sup> Jan Stachniuk